Z KOMPUTEREM PO „BISMARCKA”

NA STRONACH 4 i 5

WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

W sobotę — już w sobotę! — KONKURS... BOMBA!

Nr 99 11 IX 1990 r. Cena 650 zł

Członkowie ekipy badawczej przed pulpitem kontrolnym statku „Star Hercules”. Na pierwszym planie Tom Crook, pracownik Instytutu Oceanograficznego w Woods Hole, dalej dwudziestoletni zaledwie Todd Ballard, syn kierownika ekspedycji, sterujący pojazdem „Argo”; za nim Martin Bowen, uczestnik wyprawy, która odnalazła „Titanica” i w głębi — sam szef ekipy, Robert D. Ballard

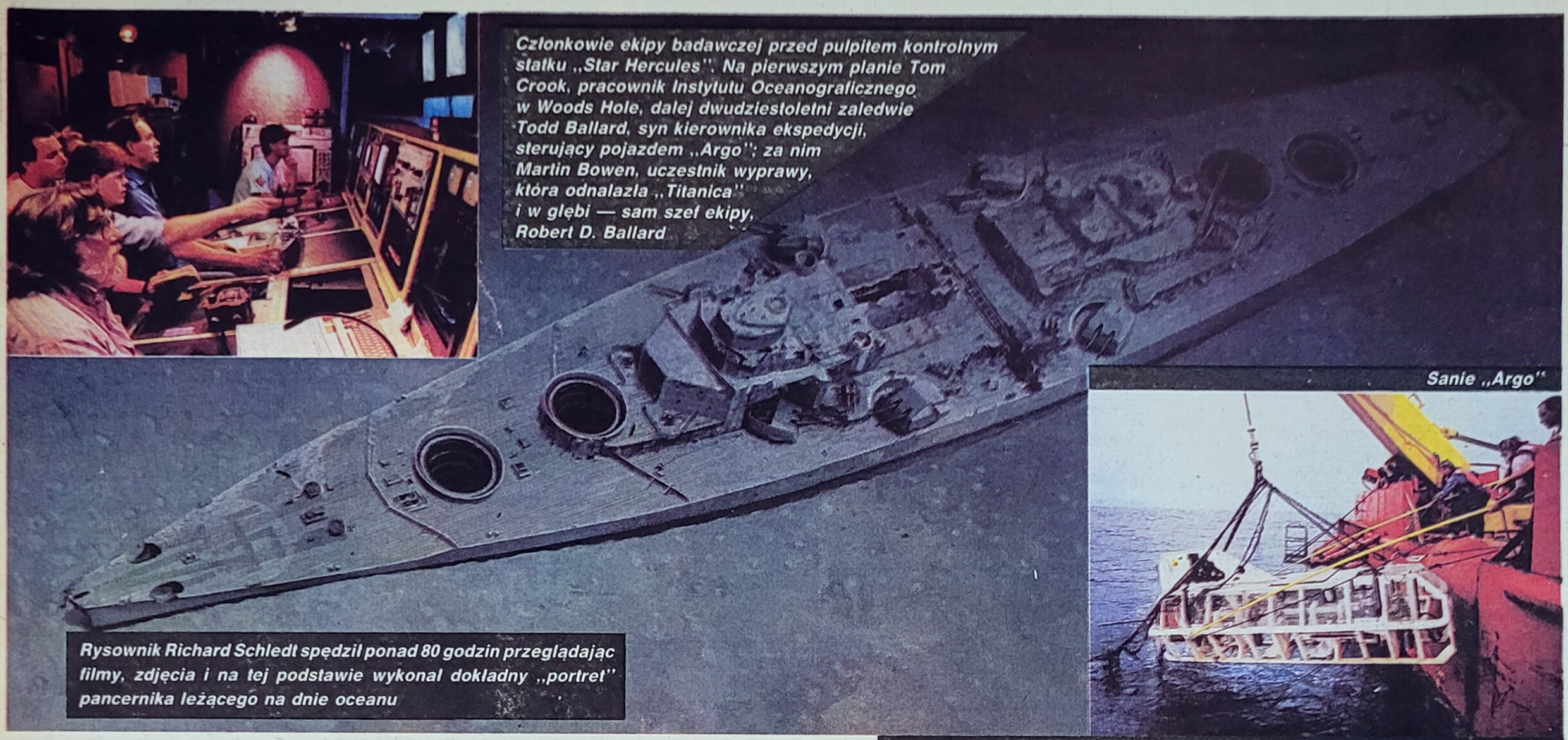

Rysownik Richard Schledt spędził ponad 80 godzin przeglądając filmy, zdjęcia i na tej podstawie wykonał dokładny „portret” pancernika leżącego na dnie oceanu

Sanie „Argo”

DZIEJE DRAMATU „BISMARCKA”

W maju 1941 roku toczyła się na Atlantyku wielka wojna morska między Anglią i Niemcami. Hitler osiągnął szczyt potęgi, a jego jedynym przeciwnikiem była wówczas Wielka Brytania. Stany Zjednoczone, wtedy jeszcze formalnie neutralne, zaopatrywały Anglię w sprzęt wojskowy i surowce. Wszystko to płynęło drogą morską na Wyspy Brytyjskie. Konwoje były atakowane przez niemieckie łodzie podwodne i duże jednostki nawodne. „Bismarck” — najpotężniejszy niemiecki pancernik (42000 ton wyporności, 8 dział 380 mm — istniał również drugi okręt bliźniaczy „Tirpitz”) wypłynął z Gdyni i skierował się na Atlantyk, by niszczyć konwoje. 20 maja angielski samolot zwiadowczy zauważył go, płynącego w towarzystwie krążownika „Prinz Eugen”, u wybrzeży Norwegii. Flota angielska ruszyła w pościg za korsarzami. Do pierwszego starcia doszło na południowy zachód od Islandii. Dwa wielkie okręty angielskie, pancerniki „Hood” i „Prince of Wales” 24 maja starły się z okrętami niemieckimi. Salwy z „Bismarcka” i „Prinz Eugena” posłały na dno „Hooda”. Z kilkutysięcznej załogi angielskiej ocalało jedynie czterech ludzi. Niemiecki zespół popłynął na południe i wkrótce okręty rozdzieliły się. Nastąpił teraz trzydniowy pościg niemal całej zmobilizowanej floty brytyjskiej za „Bismarckiem”. 27 maja, po wielogodzinnej walce z kilkunastoma angielskimi okrętami „Bismarck” został zatopiony. Wśród ofiar znalazł się naczelny dowódca niemieckiej floty admirał Lütjens.

(gb)

Dziś w „Gwiazdozbiorze” pożegnanie z latem i „Dynastią”

Pobrali się w 1986 r. Dzieci jeszcze nie mają.

Czytelnicy niemieckiego tygodnika „Bravo” wyróżnili Heather Złotym Ottem (moment wręczania na zdjęciu). Jak widać, obcięcie włosów nie odebrało aktorce ani krztyny urody...

BRZYDKI PAPIER? BURE KOLORY? MAŁO DO CZYTANIA? ZDJĘCIA WIELKOŚCI ZNACZKÓW POCZTOWYCH? Ponarzekajcie sobie dziś jeszcze do woli, to ostatnia okazja. Już w najbliższą sobotę znajdziecie w kioskach odnowiony, elegancki „Świat Młodych” — bialutki papier, żywe kolory. Aż 16 stron! A w środku wielki plakat! I konkurs ze wspaniałą nagrodą! I mnóstwo innych ciekawych rzeczy!

Takiego pisma chcieliście — takie dostaniecie. Musi jednak, oczywiście, kosztować więcej — 2000 zł.

Czy to bardzo drogo? Mniej niż cena jednego banana, biletu do kina, gumy do żucia. Mniej niż cena codziennej paczki papierosów taty, niż butelki coli... A za to ile przyjemności!

W porcji lodów możesz znaleźć salmonellę, w „Świecie Młodych” tylko zdrowe smakołyki!

PAMIĘTAJ, JUŻ W SOBOTĘ! NIE PRZEGAP OKAZJI!

HELLO!

Hello friends! Hello girls! Hello boys!
— na stronie siódmej drugie radiowe spotkanie „Anglików”.

REDAKCYJNA POCZTA

Na szczęście uciekłyśmy!

Mamy po 14 lat i od września jesteśmy w VII klasie. King (nr 83) pisze o heavy metalowcach. Uważa, że są nieszkodliwi. A my twierdzimy, że metalowcy są szkodliwi. Widziałyśmy na własne oczy, jak tacy dokuczają zwierzętom, a także młodszym od siebie. W jedną z wakacyjnych niedziel wybrałyśmy się na spacer. Spacer był udany, lecz pod koniec działy się rzeczy straszne. Spotkałyśmy na ulicy metalowców, którzy zaczęli nas zaczepiać. Śpiewali, a raczej wydzierali się, palili papierosy, niektórzy z nich byli pijani. Postanowiłyśmy uciec, a kilku z nich zaczęło nas gonić. Na szczęście uciekłyśmy.

Miśka i Aga

Co może być bodźcem do nauki?

Mam 15 lat i we wrześniu rozpoczęłam naukę w LO. Postanowiłam do Was napisać w związku z listem Sylwii (nr 80).

Sylwia za dobre stopnie dostaje od rodziców wypłatę tylko dlatego, że nie potrafi im odmówić czy wręcz sprzeciwić się, żeby nie zrobić im przykrości. Gdybym była na jej miejscu, zabrałabym rodziców na naradę i wszystko w spokoju z nimi przedyskutowała. Starałabym się im wyjaśnić, że takim postępowaniem wprowadzają mnie w zakłopotanie.

Z listu Sylwii wywnioskowałam, że rodzice mniemają, iż pieniądze są w stanie zdopingować dziecko do nauki. Przecież każdy powinien zrozumieć, że pieniądze szczęścia nie dają i nie są jedynym i nieodzownym bodźcem wymuszającym chęci do nauki. Na bardzo dobre i dobre wyniki w nauce ma wpływ przede wszystkim własna i niewymuszona wola zdobywania wiedzy; ambicja, a nawet marzenia są w stanie zdopingować człowieka do pracy. Kto jest leniem, to nim pozostanie, żeby nie wiem jakie fortuny mu dawano.

Na miejscu Sylwii właśnie z powodu ambicji i własnych przekonań nie przyjęłabym tej forsy. Nie chodzi mi o żadne unoszenie się honorem czy urażoną dumę, tylko o moje własne ja i dobre samopoczucie. Chyba czułabym się jak złodziej.

Czyż nie jest najwspanialszą nagrodą pod słońcem zwykła pochwała z ust mamy, zwykły, najzwyklejszy całus czy uśmiech? Daje to więcej radości i szczęścia niż pieniądze.

Osobiście bardzo się cieszę, że rodzice nie płacą mi za oceny; gdyby chcieli, to ja i tak bym tych pieniędzy nie wzięła. Według mnie największą radość sprawimy rodzicom, gdy będziemy mogli się pochwalić solidnie zapracowaną dobrą oceną. Nikomu łaski nie robimy, że się uczymy i chodzimy do szkoły. Uczymy się dla siebie, a nie po to by kombinować, skąd tu wytrzasnąć forsę.

Dlatego apeluję do wszystkich rodziców, aby się zastanowili nad tym, co robią. Co stanie się później z ich dziećmi, kiedy będą bezmyślnie dawać im pieniądze, które tak ładnie nazwała Sylwia „wypłatą".

„Marihuana"

KLUB KORESPONDENTÓW „ŚWIATA MŁODYCH"

My i... szkoła

GDYBY NIE... PIENIĄDZE!

Wiadomość ta szybko obiegła mieszkańców Niedrzwicy Kościelnej. Nawet sam proboszcz tutejszej parafii na kilku mszach głosił tę nowinę, popierając z całego serca ideę... utworzenia społecznego liceum ogólnokształcącego, pierwszego wiejskiego (!) na Lubelszczyźnie, a może i w kraju.

Pomysł zrodził się nagle, a jego realizacja, mimo niesprzyjających warunków, następuje jeszcze szybciej. Postanowiono, że będzie to liceum z prawdziwego zdarzenia, lepsze nawet od renomowanych lubelskich. Ma być szkołą typowo humanistyczną. Opuszczać ją będą ludzie naprawdę wykształceni, dojrzali do współczesnej cywilizacji. Bardzo ważne miejsce zajmie w niej religia.

Uczniowie będą mieli doskonale wyposażone pracownie i zapewnione częste wyjazdy do Lublina. A uczyć w tym liceum będzie doborowe grono profesorskie. Jest nadzieja, że nikt nie przyjdzie tu ze strachem, jak to w zwykłych szkołach bywa.

Tak więc wszystko byłoby wspaniale: dobre warunki do nauki, tolerancyjni i sprawiedliwi nauczyciele, znakomita atmosfera, gdyby nie... pieniądze. Bo kogo będzie stać na płacenie za ten luksus 300 tysięcy złotych miesięcznie?! A w przyszłości może i więcej.

A, jest jeszcze jeden problem: jeśli liceum nie zdobędzie odpowiedniej liczby kandydatów, nie będzie istnieć...

Agnieszka Dudzińska
członek KK „ŚM"

Fot. **MAREK SZYMAŃSKI**

My i... pielgrzymka

NAPRAWDĘ WARTO

Już trzeci raz miałam przyjemność i szczęście uczestniczyć w Pieszej Pielgrzymce Krakowskiej (a nosiła ona numer X). Szłam jako członek ostatniej grupy — siedemnastej.

Było wspaniale — poczynając od wyjścia z mojej rodzinnej parafii, na celu naszych rekolekcji w drodze — Jasnej Górze — kończąc.

Wielu ludzi przyjęło za pewnik, że młodzież jest zepsuta, amoralna, nie ma żadnych idei, nie ceni żadnych wartości, myśli jedynie o przyjemnościach bieżących dni. Naprawdę tak nie jest. Wystarczyło spojrzeć na krakowską grupę pielgrzymki, by przekonać się, że większość jej uczestników to właśnie ludzie młodzi 15–19-latki.

Prawdą jest, że nie każdy z nich poszedł na pielgrzymkę z czysto religijnych pobudek, ale przecież... w każdej regule są wyjątki. Ważne, że zdecydowali się na ten krok i, zabierając modlitewnik i różaniec, ruszyli w drogę.

Ten, kto decyduje się na pielgrzymkę, przystaje do wspólnoty, w której naprawdę wszystko jest wspólne, a zwroty „bracie" i „siostro" przestają być pustymi sloganami.

Jak często nawet osoby nieznajome wręczają pielgrzymom kubek herbaty, owoce, ciastka, szklankę zwykłej zimnej wody, która smakuje jak najdroższy sok. Są solidarni, nie chcą poklasku ani rozgłosu, chcą tylko pomóc. Czy to nie piękne?

Naprawdę warto pielgrzymować. Nigdzie tak dogłębnie nie rozważy się spraw, które wymagają zastanowienia, pytań, na które nie można odpowiedzieć jednoznacznie „tak" lub „nie". Na pielgrzymce, wśród kurzu, pyłu, słońca, spiekoty, nieraz deszczu rozwiązują się nagle ludzkie problemy, z którymi walka trwała nieraz nawet i kilka lat. Bo wędrując właśnie łatwiej jest się *„zatrzymać na chwilę, odetchnąć pięknem świata, zauważyć swojego brata..."*. Można przecież na chwilę *„odejść z gwaru życia, spojrzeć w Serce Boże..."*. Można, a nawet trzeba. Po co?

„Wszyscy i każdy z nas otrzymaliśmy misję, by wspólnie przeobrażać świat i stwarzać historię... by prowadzić ludzkość i świat ku lepszemu jutru" — twierdzą księża misjonarze. A skoro mamy przeobrażać świat, musimy najpierw zacząć od siebie, przyjrzeć się swojemu wnętrzu. Taką okazję daje pielgrzymka. Czyż nie warto spróbować? Cena nie jest zbyt wysoka, można dużo, bardzo dużo zyskać, a nic nie stracić.

Aneta Górka
Zasań
członek KK „ŚM"

My i... inni

ZROZUMIEĆ SĄSIADA...

Dla „starych" chórzystów nie było to specjalnie wielkie wydarzenie — po prostu zwykła wymiana między zespołami. Ale dla nas — rodziny bardzo jeszcze młodego „Słowika" (w osobie mojego brata), to było coś! Chórzystów z zagranicy gościliśmy wprawdzie już dwa razy, ale byli to Czesi i Rosjanie — ze zrozumiałych względów znacznie nam od zachodnich Niemców bliżsi... Więc kiedy na tydzień przed przyjazdem gości okazało się, że nie uda się na czas skończyć remontu naszej kuchni i łazienki, atmosfera stała się trochę bardziej niż nerwowa.

— *Dobra, dziewczyny, walizki zmieszczą się do samochodu, a my pojedziemy autobusem* — uśmiecham się „folklorystycznie" do Kerstin i Brygidy i pokazuję na naszego wyładowanego niemal pod sufit „malucha".

Nie są ostentacyjnie zdziwione. Nie patrzą z wyższością, której tak bardzo się obawiałam. Po prostu idziemy na przystanek i rozmawiamy o ich podróży. Ze zdumieniem odkrywam, że rozumiem w zasadzie wszystko, co do mnie mówią, a na dodatek jestem w stanie im po niemiecku odpowiedzieć. Pięć lat wkuwania słówek i czytanek coś dało!

Interesuje je program pobytu, ciekawią miasta, które mamy zwiedzać, koncerty... Cały czas jest normalnie. Bez porozumiewawczych spojrzeń na widok zatłoczonego i — co tu kryć — brudnego autobusu, zepsutego kasownika, a potem zawianych facetów przy płocie.

Może to ja mam już fioła? Może u nich też...? W końcu pytam. Odpowiadają spokojnie, trochę zdziwione.

— *Przecież my wiemy, że u was jest inaczej niż u nas. Ale to się zmieni, nie?*

Czwarty dzień ich pobytu w Polsce — koncert w koszalińskiej Katedrze. Przez cały czas ani razu nie zabrzmiały brawa. Nie wiem, czy oni orientują się, że to zwyczaj tego kościoła: w świątyni zachowuje się zupełną ciszę, a artystom dziękuję się bądź przez powstanie po występie,bądź — już głośno — na zewnątrz, kiedy wychodzą.

Uśmiecham się do „moich" dziewczyn, pokazuję podniesiony do góry kciuk. One chyba wiedzą, bo uśmiechnięte schodzą ze stopni. Widownia wstaje. Na dworze ludzie zaczynają klaskać, śmieją się, niektórzy wręczają kwiaty. Chór śpiewa parę luźniejszych piosenek, my, Polacy, podchwytujemy łatwiejsze fragmenty... Wracamy do autobusu odprowadzani przez sporą gromadkę wielbicieli.

— *Ty wiesz Ilona, u was wszyscy są tacy bardzo ciepli!*

Jeździłam z nimi codziennie na koncerty i podczas parogodzinnych podróży sporo rozmawiałam nie tylko z „moimi" Kerstin i Brygidą, ale właściwie po trochu z całym chórem. Z tego mnóstwa twarzy, które ciągle myliły mi się, zaczęłam odróżniać kilka. Zaprzyjaźniliśmy się i właściwie wszyscy zgodnie wychodziliśmy w piątkę: my, trzy dziewczyny, oraz Dieter i Christian. Było dobrze, bo im się naprawdę chciało coś robić — gdzieś pojechać, pozwiedzać, pobawić się.

Czwartek był dniem zupełnie wolnym od zajęć. Zapytałam, czy mają ochotę wyskoczyć do Poznania — siedem godzin drogi, trzy, maksimum cztery, zwiedzania.

— *Jedziemy!*

Nie wiem, jak nazywa się koziołek po niemiecku, a niezbyt chce mi się to tłumaczyć opisowo, więc siedzę na murku z zadartą do góry głową i wpatruję się z napięciem w małe drzwiczki na poznańskim Ratuszu. Za minutę dwunasta. Moi Niemcy również hipnotyzują wzrokiem nieszczęsne drzwiczki.

— Böcklein! krzyczą mi nagle do ucha i łapią te swoje aparaty z niesamowitą mnogością dodatkowych obiektywów.

Fotografują namiętnie właściwie wszystko, bo jest albo bardzo ładne, albo... bardzo polskie. Uwieczniony zostaje więc pałac Działyńskich, fontanna na rynku, lody (od Brody!), portrety Witkacego w Muzeum Narodowym (aparat bez flesza!), Kerstin z gołębiami...

Poznań jest zupełnie inny od Szczecina, na pewno bardziej kolorowy, europejski. Brigida pyta, czy to dzięki nowym samorządom.

— *Dzięki poznaniakom!* — śmieję się i tłumaczę, że to miasto zawsze było bardziej zadbane niż inne.

Dziewczyny biegną na chwilę do sklepu z nutami, a my z Dieterem — do antykwariatu.

— *Boże, jak tu tanio!* — dziwi się.

— *Dla kogo tanio, dla tego tanio* — mruczę, bo akurat mnie 25 tysięcy za wiersze Brandstaettera wydaje się zupełnie drogo. Mówię mu, nie zarabia moja Mama. Zdumienie.

Dieter kupuje parę starych książek niemieckich do gramatyki i biegniemy obejrzeć słynne poznańskie Fary.

Minęła druga — trzeba wracać do domu.

Do Szczecina jedziemy autostradą, 160 km na godzinę.

Zaskoczyli nas zdecydowanie właściwie jednym — brakiem pasji kupowania. Nie należę do osób, które za granicą zwiedzają tylko sklepy, ale... nie ukrywam, że widok ciucha tańszego o trzy czwarte w porównaniu z naszymi cenami wyzwoliłby we mnie pewne emocje. Oni nie kupowali właściwie nic i to wcale nie dlatego, że nic nie przypadło im do gustu. Kerstin obejrzała bluzkę, stwierdziła, że jest świetna i... poszła dalej. Ona jej po prostu NIE POTRZEBOWAŁA. I właściwie wszyscy z chóru kupowali tylko to, co w tym samym czasie nabyliby u siebie, w Niemczech.

Tłumaczyłam to sobie rozsądnie, że inny poziom życia, mentalność, ale... Nie, no coś takiego, zwłaszcza w księgarni to było mimo wszystko dziwne...

Ostatnia noc, przed chwilą wybiła dwunasta. Siedzimy przy świecach, trochę śpiewamy. Niemożliwe, że znamy się dopiero tydzień, niemożliwe, że...

Przypominają mi się słowa ich dyrygenta, pana Bernarda Hasslera, które wtedy, na samym początku, wydawały się takie napuszone i nieprawdziwe:

— *Zrozumiemy się na pewno dobrze, bo niemożliwe, żeby nie zrozumieli się ludzie, którzy kochają muzykę.*

Nie wiem, może to właśnie to. W każdym razie umówiliśmy się: za rok w Münchweiler!

Ilona Iłowiecka
Szczecin
członek KK „ŚM"

Order Uśmiechu dla księdza Adama Prochaskiego

CHRZESTNY TATA

Ksiądz Adam Prochaski był całkowicie zaskoczony bardzo miłą niespodzianką, jaką zgotowano mu podczas jego ostatniego, dwudziestego pierwszego bodaj przyjazdu do starego kraju. Order Uśmiechu — najsłoneczniejsze z odznaczeń, którego od soboty, 14 lipca br. jest Kawalerem, będzie mu zawsze przypominał wdzięczność polskich dzieci.

By odpowiedzieć na pytanie, czym skromny proboszcz z parafii pod wezwaniem Świętego Krzyża w dzielnicy Mespeth w Nowym Jorku zasłużył sobie na to najwyższe przyznawane przez polskie dzieci odznaczenie, należy cofnąć się kilkanaście lat wstecz. Ksiądz Adam Prochaski to Amerykanin polskiego pochodzenia, z czego jest bardzo dumny i co podkreśla na każdym kroku. Duszpasterz z powołania na co dzień zajmuje się prowadzeniem polskiej szkoły przyparafialnej, w której uczą się dzieci miejscowej Polonii. Wysoki poziom nauczania, a także fakt, iż „smak polskości jest tam obecny właściwie wszędzie" cieszy księdza Adama. W jego parafii rozkwitło prawdziwie polskie życie towarzyskie i kulturalne.

Ksiądz Adam — aktywny działacz polonijny oddał się bez reszty sprawie, która leżała na sercu jego przyjacielowi — Stanisławowi Fryczyńskiemu, prezesowi fundacji i twórcy programu „Dzieci Świata". Dzięki wysiłkowi pana Fryczyńskiego powstał specjalistyczny kardiochirurgiczny ośrodek Deborah Heart and Lung Center, którego pacjentami są głównie dzieci. Wieloletnia przyjaźń pana Fryczyńskiego z księdzem Prochaskim sprawiła, że prezes fundacji zaproponował księdzu Adamowi szczególny rodzaj działalności — organizowania akcji wyjazdów polskich dzieci dotkniętych ciężkimi chorobami, bądź też wadami wrodzonymi serca do ośrodka Deborah Heart and Lung Center. Ksiądz Adam bez chwili namysłu podjął się tej bardzo szczególnej misji. W jej wyniku od marca 1981 roku na leczenie do USA wyjechało ponad dwieście polskich dzieci. Dla większości z nich operacje kardiochirurgiczne były jedyną szansą ratunku. Wiele z nich spotkało się z księdzem Adamem na uroczystości wręczenia mu Orderu Uśmiechu w Ośrodku Harcerskim w Chorzowie, w której uczestniczyli przede wszystkim członkowie Kapituły Orderu Uśmiechu z panem Aleksandrem Knapem i red. Marią Dąbrowską z „Kuriera Polskiego" oraz kardiochirurdzy z ośrodków w Zabrzu i Katowicach — Ochojcu z doc. dr. hab. n. med. Zbigniewem Religą.

Ksiądz Adam Prochaski — Kawaler Orderu Uśmiechu otoczony swoimi podopiecznymi w Ośrodku Harcerskim w Chorzowie

Reporterowi „Świata Młodych", któremu nie dane było w dniu uroczystości spotkać się z księdzem Adamem Prochaskim, udało się jednak odszukać Kawalera Orderu Uśmiechu na osiedlu Tysiąclecia w Katowicach. Gościł tam u swojego chrześniaka — 5-letniego Adama i jego rodziców Ewy i Janusza Hajów. Pani Ewa jest od kilku lat nieocenioną współpracowniczką księdza Adama i wspólnie z mężem pomagają mu, jak mogą w wypełnianiu jego misji. Adam Haja natomiast nie jest jedynym chrześniakiem księdza Adama. Ma ich w Polsce — dziewięcioro. Są to na ogół młodsze siostry i bracia tych, którzy byli operowani w ośrodku Deborah Heart and Lung Center. I choć ksiądz Adam nie ma w Polsce krewnych, to na brak więzi rodzinnych nie może się uskarżać. Jego rodzina — jak sam mówi — to dzieci po operacjach, ich rodzice, rodzeństwo, przyjaciele. I lekarze — anestezjolodzy, kardiolodzy i kardiochirurdzy, dla których organizuje szkolenia w Stanach Zjednoczonych. Kiedy dwa razy w roku przyjeżdża do Polski, wszyscy chcą mieć go u siebie w domu, zatrzymać chociaż na parę dni, a on stara się nie zawieść pokładanych w nim nadziei.

Najbardziej jednak lubi takie chwile, jak te spędzone w Aninie pod Warszawą, gdzie latem 1983 roku spotkał się na specjalnym zjeździe z siedemdziesięciorgiem dzieci po operacjach i cieszył się wspólnie z nimi ich dobrym samopoczuciem i znakomitą kondycją. — *To w pełniejszy chyba sposób nadaje sens mojemu życiu* — mówi na pożegnanie.

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW

TWÓRCZOŚĆ RADOSNA?

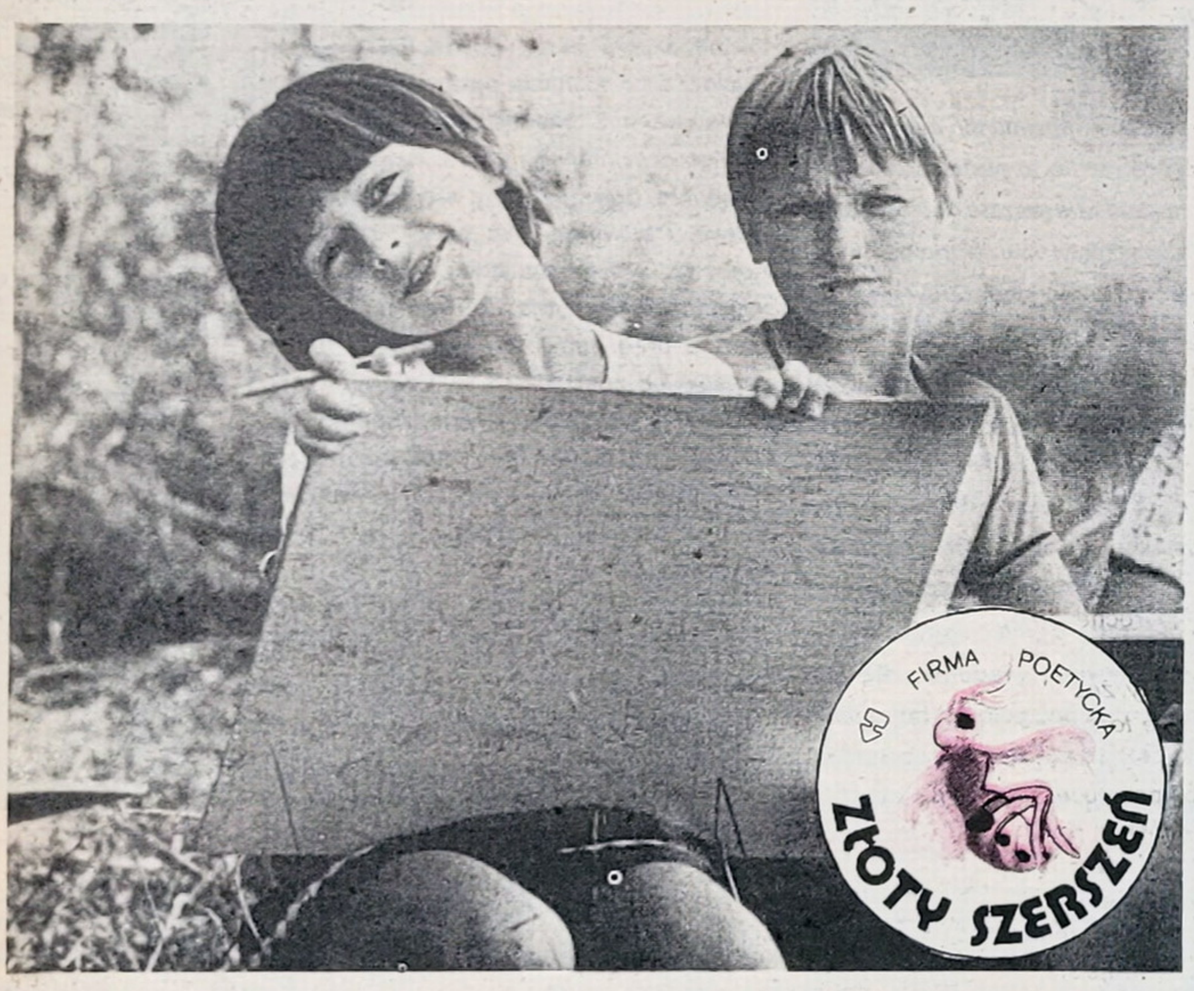

Szanowna Brzęczysławo!

Kiedy przeczytałam o Twoim konkursie, napisałam 7 wierszyków, które posyłam. Bardzo mi zależy na Twojej ocenie. Poradź mi, czy mam pisać dalej. Odpisz mi pod adresem domowym, bo już od wielu tygodni nie mam jak zdobyć „Świata Młodych" — nasz kiosk jest zamknięty na trzy spusty. Proszę też o odesłanie poprawionych wierszy. Wierzę, że mnie nie zawiedziesz, Brzęczysławo. Z góry dziękuję. ***Ania***

A jednak, a jednak zawiodę! Przykro mi! Nie mogę odpisywać listownie ani oceniać wszystkich nadesłanych wierszy, ani odsyłać ich autorom (musicie zostawiać sobie kopie). No i nie mogę zajmować się „poprawianiem". Owszem, czasami to robię, a i to zwykle z wahaniem, w przypadku tych utworów, które kwalifikują się do druku, a mają jakieś drobne usterki, albo wydaje mi się, że poprawka lepiej pozwoli oddać myśl autora. Generalnie jednak w poezji obowiązuje zasada pełnej odpowiedzialności za każde słowo, ba, nawet za każdy znak interpunkcyjny!

Chyba nie do końca i nie wszyscy zdajecie sobie z tego sprawę. Tymczasem właśnie na tym polega cała niezwykłość poezji i właśnie to odróżnia ją od prozy.

Słowo poetyckie w wierszu jest niewymienialne na żadne inne. Ono współgra, współbrzmi z innymi, jest jak nuta w melodii: jedna może wszystko zepsuć lub wszystko naprawić.

Każdy szczegół wiersza jest ważny — wszystkie pauzy, podział na wersy. Zauważcie, ile waży w wierszu słowo stojące samotnie; ono aż krzyczy. Tak samo większą wagę mają słowa na końcu wersów. One często mają podwójne znaczenie: pierwsze wynikające z treści wersu, w którym się znajdują, i drugie — które odkrywamy czytając wers następny...

Wiedząc o tym wszystkim, poeta wystrzega się jak ognia słów wytartych, wyświechtanych od ciągłego używania, np. w gazetach. A jeśli już z nich buduje swój utwór, to zawsze ma w tym jakiś cel, chce wydobyć jakieś szczególne znaczenie. Nigdy nie mówi słowami, które mu się nasunęły, bo były pierwsze z brzegu. Nigdy nie stosuje łatwych, oklepanych porównań (*piękny jak kwiat*), oczywistych epitetów (*słońce gorące*), ogranych metafor (*serce pęka z rozpaczy*).

Poeta wiecznie chce być oryginalny.

Poeta chce także, by wiersz brzmiał — w czysto muzycznym sensie, żeby miał wewnętrzny rytm, żeby rymy nie były broń Boże częstochowskie (*widziany — kochany*), żeby słowa nie „gryzły się ze sobą". Dlatego dobrze jest sobie wiersz przeczytać na głos („prześpiewać" — jak to określił Petrarka), bo wtedy można usłyszeć wszelkie zgrzyty.

Wiem, że większość z Was uprawia twórczość spontaniczną, intuicyjną. Ale niektórzy mają „słuch poetycki" i „instynkt literacki", który pozwala unikać brzydkich kiksów bez specjalnej pracy nad wierszem i bez znajomości teorii. Dobrze jest jednak wiedzieć, że to uchodzi tylko na tym pierwszym etapie „twórczości radosnej", jeszcze nieświadomej odpowiedzialności za słowo. Gdy ta odpowiedzialność się budzi, zaczyna się dojrzewanie. Niekoniecznie musi się ono skończyć narodzinami Poety. Często kończy się twórczością w innej dziedzinie, a czasem po prostu pełniejszym, bardziej świadomym, bogatszym odbiorem wartości kultury.

Dedykuję Wam fragment dziennika Petrarki.

Wasza **BRZĘCZYSŁAWA**

Trzecia godzina z rana, 19 października:

Zacząłem ten sonet przy Bożej pomocy dnia 10 września, o świcie, po rannych pacierzach. Te dwa wiersze trzeba będzie przerobić, ułożyć je w innym porządku, a dla większej pewności prześpiewać sobie.

30 października, o godzinie 10 z rana:

Dobrze, podoba mi się.

20 grudnia wieczorem:

Nie, nie podoba mi się. Trzeba to będzie poprawić, wołają mnie na obiad.

18 lutego koło 9 wieczorem:

Teraz już zupełnie dobrze, jednak trzeba będzie jeszcze to przejrzeć...

To są zapiski z dziennika Francesco Petrarki*), wielkiego poety włoskiego, najwspanialszego liryka dawnej literatury europejskiej...

A Wy często piszecie do Firmy:

Przesyłam wam mój pierwszy wiersz. Może nie jest najlepszy, ale koleżankom się podoba. Chciałabym, żeby został wydrukowany...

*) **cytuję za książką Barbary Wachowicz „Malwy na lewadach"**

Ostatnio posucha w KLUBIKU pod skrzydełkami Szerszenia

Monika Małachowska chce korespondować, ale nic o sobie nie napisała. **Renata ze Świdnika** przysłała ogłoszenie, ale nie podała nazwiska... Zachęcam do korzystania z tej możliwości zdobycia nowych przyjaciół, ale pamiętajcie o sprawach podstawowych: oferta korespondencji musi być sformułowana ciekawie, możliwie wyczerpująco, no i musicie się zdecydować na ujawnienie wszystkich danych, łącznie z dokładnym adresem.

Zapraszam wszystkich miłośników poezji, także tych platonicznych, to znaczy nie piszących, ale oczarowanych poezją. I przypominam, że na łamach naszego „kącika" możecie innych zachęcić do poznania swojego ulubionego poety. Napiszcie o nim, dopisując na kopercie ***„Delicje".***

Kochani!

Nie przysyłajcie wierszy koleżanek, przyjaciół, krewnych, bo mogą to zrobić sami z lepszym skutkiem. Zwłaszcza nie róbcie tego bez ich wiedzy (jak **Ewa S. z woj. częstochowskiego** i **Sebastiana K. z Warszawy**), żeby zrobić im niespodziankę lub pomóc w przełamaniu wstydliwości. Możecie ich natomiast namawiać aż do skutku, aby przedstawili się Firmie. Ona przecież jest właśnie dla nich.

KANCELARIA FIRMY

● **Sylvek z B.** Nie mogę za Ciebie zdecydować, czy kontynuować pisaninę. Mogę Ci powiedzieć, że nie władasz językiem jak poeta. Wiersz, który nadesłałeś, jest mało odkrywczy, i w formie, i w treści. Słowa pod Twoim piórem nie nabierają Wielkich Znaczeń, ani też nie brzmią jak muzyka. Poetą więc nie będziesz, ale liczy się Twoja wrażliwość. Trzymam za nią kciuki.

● **Mariola M. z Warszawy.** Przysłałaś ładny, ciepły i ciekawy list, a w nim wiersze, które, niestety, nie są ładne ani dobre

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

W poszukiwaniu pływającej chluby Hitlera

Zdjęcia wykonywano seriami, fotografując każdy szczegół wraka. Tu widoczny jest dźwig okrętowy (u góry) i przeciwlotniczy karabin maszynowy (u dołu)

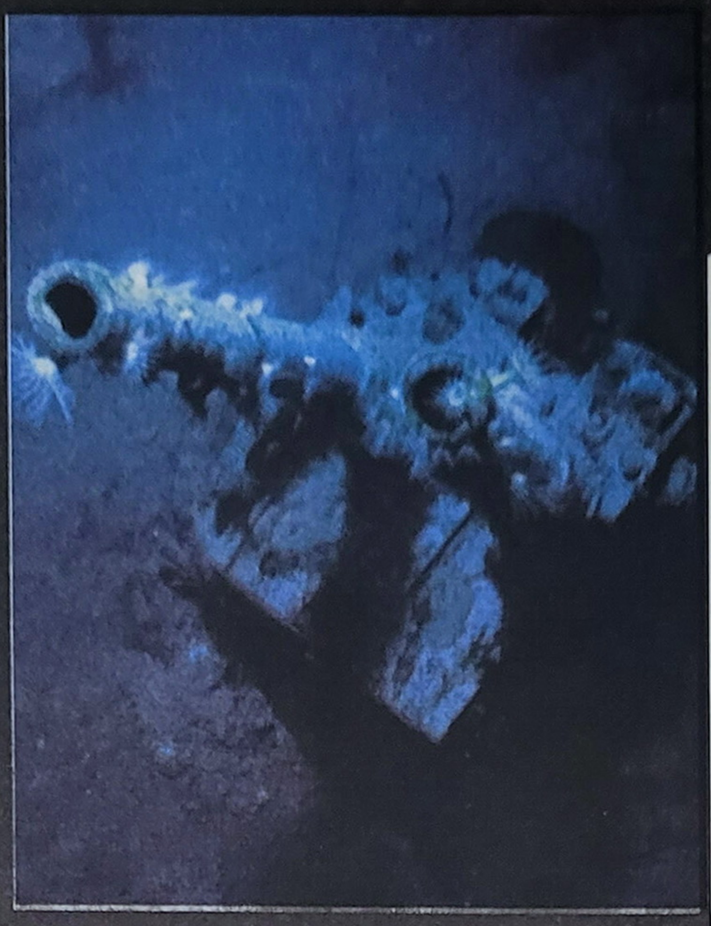

Jedna z wież działowych pancernika

Z KOMPUTEREM PO „BISMARCKA"

Tu nie żałowano środków. Najnowsza elektronika, komputery, kamery wideo... No i przede wszystkim — najświetniejsi fachowcy. Bez nich wyprawa w poszukiwaniu szczątków jednego z najsłynniejszych okrętów wojennych świata, prawdziwej chluby Hitlera, nie miałaby szans powodzenia... A była to wyprawa nie tylko prestiżowa, ale i ważna dla historyków techniki wojennej. I zarazem — dla rozwoju metod badania tego, co zalega w głębinach.

Historia największego hitlerowskiego pancernika przypomina po trosze historię słynnego transatlantyka „Titanic". Oba nie przeżyły swych debiutów. Oba przeżyły swe tragedie na Atlantyku. „Titanic", największy luksusowy okręt pasażerski świata, zatonął podczas swojego dziewiczego rejsu w 1912 r. po zderzeniu z górą lodową. „Bismarck" w czasie swego pierwszego korsarskiego rajdu w 1941 r. został zatopiony przez Anglików. Oba osiadły na dnie oceanu na wielkiej głębokości. Do niedawna nie było wiadomo gdzie. Zapowiadało to nader trudne ich poszukiwania. Gdy je wreszcie podjęto, okazało się, że w poszukiwaniu „Titanica" trzeba przeczesać 1000 mil kwadratowych, zaś „Bismarcka" — 120 mil kw.

Z „Titanikiem" było jednak łatwiej. Znano wszakże dokładny kurs tego statku — kurs, po którym szedł on tuż przed zderzeniem z górą lodową. Tymczasem „Bismarck" zatonął po zaciekłej walce z flotą angielską, zmieniając podczas swych ostatnich godzin wielokrotnie pozycję. O tych ostatnich godzinach w ogóle niewiele wiadomo. **Nie jest nawet pewne, czy na dno poszedł rzeczywiście za sprawą Anglików; niektórzy twierdzą, że ostatecznie zatopiła go własna załoga.**

Rysunek przedstawia położenie wraku na wielkiej podwodnej równinie

A oto „Bismarck" w czasach swej świetności

Ekipa kierowana przez Roberta D. Ballarda wyruszyła w 1985 r. na poszukiwanie „Titanica", odnosząc powodzenie. Wrak znalazła na głębokości 3750 m. Kiedy w cztery lata później zespół Ballarda wyruszał na poszukiwania „Bismarcka", uczestniczący w tym przedsięwzięciu ludzie wiedzieli, że czeka ich dużo trudniejsze zadanie...

Nie wystarczyły sieci...

Tradycyjna metoda poszukiwania zatopionych statków opiera się na zastosowaniu tzw. sonarów. Są to zespoły sieci, pozwalające wykrywać podwodne obiekty i określać ich położenie. Poszukiwania, prowadzone tą metodą, polegają na systematycznym przeczesywaniu dna; niektórzy porównują je do... koszenia trawy na łące. Chociaż obie ekspedycje Ballarda korzystały z tej metody, zdawano sobie sprawę, że ona nie wystarczy. Sięgnięto więc po kamery wideo, które spuszczono w głąb morza ze statku badawczego.

Tak uzbrojona ekipa wyruszyła w czerwcu 1988 r. na poszukiwania sławnego pancernika. Trzy tygodnie niezmordowanego przeczesywania dna, oglądania każdego szczegółu za pośrednictwem kamer nie przyniosło jednak oczekiwanego rezultatu. Nie znaczy to jednak, że ekipa powróciła z niczym. Nowoczesna technika sprawiła, że odnaleziono wrak nie zidentyfikowanego, XIX-wiecznego drewnianego klipra. Takiego znaleziska nie powstydziłaby się niejedna wyprawa. Poczyniono też przy okazji spostrzeżenie, ważne dla dalszych poszukiwań wojennego olbrzyma. Zauważono mianowicie, że prąd podwodny w miejscu dotychczasowych poszukiwań, 600 mil na zachód od brzegów Francji, płynie z północnego zachodu na południowy wschód. Szczątki „Bismarcka" musiały więc być przesuwane w tym właśnie kierunku. To była cenna informacja...

Mając ją na uwadze, w maju 1989 r. wznowiono poszukiwania. Angielski okręt badawczy „Star Hercules" wyruszył w rejs, ciągnąc za sobą na koncentrycznym kablu

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

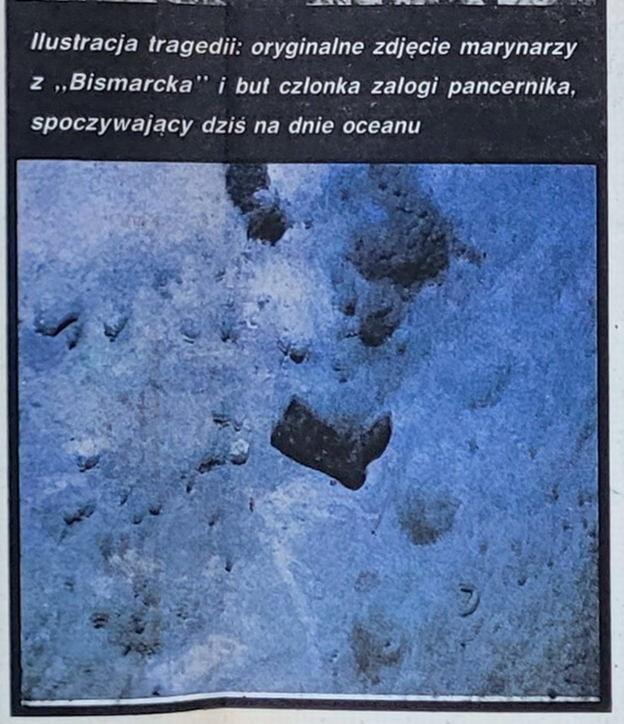

Ilustracja tragedii: oryginalne zdjęcie marynarzy z „Bismarcka" i but członka załogi pancernika, spoczywający dziś na dnie oceanu

Gwiazdy Italia'90

CLAUDIO — „SYN WIATRU"

CLAUDIO PAUL CANIGGIA

urodzony: 9.01.1967 r. w Henderson
wzrost: 173 cm, waga: 69 kg
stan cywilny: kawaler
hobby: szybka jazda samochodem, muzyka i kino
samochód: renault alpine
sukcesy: najlepszy skrzydłowy Argentyny w 1987 roku, wicemistrz świata w 1990 r.

Podczas turnieju Italia'90 wyróżniło się kilku napastników. Skutecznością gry imponował Włoch Salvatore Schilacci, sprytem na boisku Kameruńczyk Milla, przebojowością Niemiec Jurgen Klinsmann, świetną grą głową Thomas Skuhravy z Czecho-Słowacji. Jednak najszybszy, najbardziej widowiskowo grający był Argentyńczyk Claudio Caniggia, nazwany przez włoskich dziennikarzy „synem wiatru".

Argentyna to prawdziwa kopalnia piłkarskich talentów. Rokrocznie na boiskach Buenos Aires, Rosario czy Cordoby pojawia się cała rzesza młodych futbolowych wirtuozów, którzy z piłką potrafią zrobić wszystko. Nic dziwnego, że do ligowych drużyn trafiają tylko najlepsi. Zadebiutować więc w czołowym zespole w wieku 18 lat to doprawdy wyczyn. Dokonał tego płowowłosy, filigranowy chłopak Claudio Caniggia, który 14.12.1985 roku wybiegł na boisko w świetnej jedenastce River Plate Buenos Aires. Kibice ze zdumienia przecierali oczy, gdy żółtodziób z szybkością sprintera pędził na bramkę przeciwników. Kolejne mecze potwierdziły, że pojawił się talent na miarę niedoścignionego Diego Maradony.

Po półtorarocznych występach w lidze, 10.06.1987 roku Claudio zadebiutował w drużynie narodowej. W tym samym roku wziął udział w niezbyt udanych dla Argentyny mistrzostwach Ameryki Płd., należał do grona nielicznych piłkarzy, którzy nie zawiedli. Podobnie było rok później podczas międzynarodowego turnieju w Berlinie Zachodnim. Argentyńczycy grali kompromitująco i tylko Caniggia wraz z kolegą klubowym Pedrem Troglio ratowali honor zespołu. Dobre występy Claudia na berlińskim boisku nie uszły uwadze menedżerów czołowych drużyn Bundesligi i włoskiej Serie A. Ostatecznie przetarg o błyskotliwego gracza wygrała Hellas Verona.

Pod niebem Italii Argentyńczyk nie miał łatwego życia. Obrońcy włoscy znani z ostrej, bezpardonowej walki jak mogli, tak uprzykrzali mu życie. Po serii kilku urazów Claudio złamał w końcu nogę i większą część sezonu musiał poświęcić rehabilitacji. Nowy rozpoczął już w barwach innego klubu — Atalanty Bergamo, a przejściu doń towarzyszyło sporo szumu. Otóż piłkarz zamieszany był w aferę kokainową, a w dodatku uwikłał się w romans ze starszą od siebie piosenkarką. Szefowie klubu zdecydowali się pozbyć kłopotliwego, a w dodatku często kontuzjowanego gracza. I tak trafił do niezbyt mocnego klubu z Bergamo. Dzięki jego dobrej grze, przeciętny zespół z łatwością utrzymał się w lidze, a w niektórych meczach pokrzyżował szyki nawet najlepszym. Kibice Atalanty mieli swego nowego idola.

Podczas mondialu drużyna argentyńska nie pokazała wielkiej piłki. Właściwie tylko Diego Maradona i Claudio Caniggia zagrali na światowym poziomie. Ten pierwszy wypracowywał akcje, drugi pięknie je wykańczał. Szczególnie w spotkaniu z Brazylią para ta pokazała, co jest warta dla zespołu. Diego przeprowadził rajd z połowy boiska, minął trzech przeciwników i padając na murawę przekazał piłkę koledze. Ten nie namyślając się długo pomknął na bramkę Taffarela, wyminął go i umieścił piłkę w siatce. Akcja rzeczywiście popisowa! Niektórzy twierdzą, że gdyby „syn wiatru" nie otrzymał dwóch żółtych kartek i mógł wystąpić w finale przeciwko RFN, niezbyt silna drużyna południowoamerykańska zdobyłaby Puchar Świata. A tak osamotniony Maradona był bezsilny wobec twardej obrony Niemców.

Caniggia ma zaledwie 23 lata i praktycznie wielką karierę jeszcze przed sobą. Na razie chciałby dobrze zagrać ze swoją klubową drużyną w europejskich pucharach i dalej cieszyć swym kunsztem liczne rzesze wiernych sympatyków.

ANDRZEJ BACZYŃSKI
Fot. **MAREK WIELGUS**

GWIAZDOZBIÓR

HEATHER LOCKLEAR — SAMMY JO NIE BYŁA CAŁKIEM ZŁA...

Skończona laba! Już nie będzie można codziennie zasiadać przed szklanym okienkiem rano lub o zmierzchu, by śledzić losy serialowych przyjaciół z lata. Aby jednak uczynić słodszym Wasze pożegnanie z wakacjami, postanowiłam dziś poświęcić miejsce w rubryce... historii małżeństwa najśliczniejszej aktorki „Dynastii" — złotowłosej Heather Locklear. Wciela się ona w Sammy Jo — siostrzenicę Krystle, a żonę Stevena.

Co do bohaterki serialu... Sammy Jo podoba się właściwie wszystkim widzom z urody, ale charakterek ma, że nie daj Boże. W ciągu ośmiu lat, od chwili wejścia do obsady „Dynastii" (miała wtedy 20 lat) po zakończenie produkcji filmu, jej postać ulegała ewolucji. Tym co zmieniło Sammy Jo na korzyść było — zdradzę Wam — urodzenie synka.

Zobaczymy tę metamorfozę. Serial przecież „chwycił" i TVP sprowadza jego dalsze odcinki.

Sądzę, że historia małżeństwa gwiazdki telewizyjnego ekranu może Was zainteresować także ze względu na osobę pana młodego. Jest nim Tommy Lee — długowłosy, wytatuowany perkusista hard-rockowej grupy Mötley Crue. Dla Heather, jak odnotowano w kronikach towarzyskich wielu gazet, przeobraził się w prawdziwego księcia wdzięku i elegancji. Heather zaś jest zupełnie inną żoną, niż to demonstruje na ekranie w serialu. Nie przychodzi jej to trudno. Po prostu jest inna! Ceni przede wszystkim wierność w partnerskim i pełnym miłości układzie.

Swego męża poznała w Los Angeles, za kulisami, w czasie koncertu. Hard rock zupełnie jej wtedy nie interesował, nadal zresztą ten typ muzyki nie leży w jej gustach... Ktoś znajomy przedstawił jej Tommy'ego, zresztą na jego gorącą prośbę. Zarośnięty i ekstrawagancko ubrany, szarmancko pocałował ją w rękę i spontanicznie zawołał: — *To można cię naprawdę dotknąć?! To cudowne!* Bardzo to Heather ujęło, bo do tej chwili wyobrażała sobie, że wszyscy gwiazdorzy rocka są okropnymi, prymitywnymi gburami. — *On był zaskakująco nieśmiały* — wyznaje Heather. — *Nie wstydził się jednak być romantyczny, przynosił kwiaty, trzymał za rękę, słodko patrzył w oczy. Był chłopcem bardzo... uważającym — to staroświeckie słowo jest tu najwłaściwsze. Nigdy przedtem nie spotkałam kogoś takiego. On — uwierzcie mi — zachował w swym charakterze ufność i czułość małego chłopca!*

Takie zdanie na temat Tommy'ego ma zakochana Heather. Jej dwóm starszym siostrom też od razu spodobał się ogromnie i... trochę je zaskoczył swoim wyglądem. Dotąd Heather odwiedzali jedynie chłopcy w garniturach i krawatach, starannie ostrzyżeni... Mama Heather powściągliwie wyrażała swoją sympatię do długowłosego gościa, taty zaś... po prostu nie było w domu w czasie jego pierwszych odwiedzin.

A oto relacja Heather z pamiętnego dla niej dnia oświadczyn:

— *Tommy zadzwonił do mnie i powiedział, że musi mnie o coś zapytać. — Hmm — chrząknęłam pytająco. W słuchawce nastała długa cisza. Potem Tommy powiedział nerwowo: „To jednak nie jest rozmowa na telefon". Po pół godzinie zjawił się z kwiatami i już od progu prosił o moją rękę. Szczerze powiedziawszy, oczekiwałam tego, miałam nadzieję, że wreszcie się odważy...*

Gdy zawiadomiła rodzinkę o swoich planach matrymonialnych, reakcje najbliższych były różne, ale generalnie pozytywne. Siostry bardzo się ucieszyły. Również mama przyjęła wiadomość pogodnie, życząc córce wiele szczęścia, choć jej poprzednie plany małżeńskie z innym pretendentem do ręki (bo były takie) zdecydowanie storpedowała. Uważała wtedy — słusznie, jak przyznaje dziś Heather — że jej najmłodsza zbyt wcześnie myślała o małżeństwie, że uczucie, które wydawało się głębokie, w istocie było tylko nastolatkowym zadurzeniem... Tym razem zaś nie miała zastrzeżeń. Tata natomiast nie skojarzył, kto jest wybrankiem córki. Gdy się zorientował... wybuchnął „strasznym śmiechem". — *Myślę dziś* — wyznaje Heather — *że to był śmiech nerwowy. Potem bardzo się obaj polubili...*

Heather i Tommy mieszkają w Fernando Valley, pod Hollywood. Wygodny, ładny, czteropokojowy domek stoi na zboczu stromego pagórka, z którego szczytu roztacza się malowniczy widok. Living — główny pokój, ma charakter bardzo przytulny, ciepły. Urządzony jest w drewnie i ciemnozielonych pluszach. Najmilej jest w nim, gdy na kominku płoną szczapy. Młodzi, którzy przecież świetnie zarabiają, mają też basen w ogrodzie i własny pokój ćwiczeń. Heather, która ma znakomitą figurę,(mimo że nie jest wysoka — 162 cm), lubi się gimnastykować. Chociaż słodzi wszelkie napoje, co jest wśród wiecznie „dietujących się" aktorek rzadkością — nie tyje. Waży zaledwie 45 kilo!

Co Heather lubi najbardziej? Po kolei: odpoczywać z Tommym z daleka od zgiełku, najchętniej oglądając razem telewizję i jedząc herbatniki w czekoladzie; tańczyć z nim w miłym lokalu; otrzymywać listy od fanów z całego świata; lubi także swoje cztery psy — Sashę, Tusdeya, Harleya i Tiggera (ten ostatni jest rasy chow-chow). Jeśli więc zechcecie napisać do niej — podaję adres: **Heather Locklear, c/o Bakar-Winkur-Ryder Public Relations 9348, Civic Center Drive, Suite 407 Beverly Hills CA 90210 USA.**

Na odpowiedź specjalnie bym jednak nie liczyła — ślicznotka dosłownie zasypywana jest korespondencją! Wyznaje, że o istnieniu wielu krajów dowiedziała się dopiero, gdy otrzymała z nich listy.

Wybaczycie mi, mam nadzieję, że nie piszę o aktorskich umiejętnościach Heather. Przyjdzie na to czas, gdy zobaczymy ją w kinie. Na razie serial — tasiemiec zabierał jej prawie cały czas. Po jego zakończeniu zdążyła już jednak zagrać w filmie kinowym, w komedii grozy — lub, jak kto woli — śmiesznym horrorze pt. „The return of the swamp thing". Pracuje teraz nad rolą w telewizyjnym filmie seryjnym (znacznie skromniejszym jednak niż „Dynastia"), który nosi tytuł „Buddies".

EWA BIELSKA

Fot. **„Ciné-Télé-Revue"**

Rozpoczynamy dziś druk cyklu materiałów Michaela Thompsona-Noela, Brytyjczyka, na temat UFO, pod wspólnym tytułem „Cudaczny świat ufologii". Ukażą się one w trzech kolejnych wydaniach TOMIKA. Poglądy pana Thompsona-Noela zawierają duży ładunek sceptycyzmu, wręcz niewiary w rzeczywiste istnienie UFO. Uważa on ufologię za coś w rodzaju... nowej religii. Warto zapoznać się z jego sposobem podejścia do tego współczesnego problemu, któremu na imię: niezidentyfikowane obiekty latające. Czekam na Wasze opinie.

PREZES

CUDACZNY ŚWIAT UFOLOGII (1)

Panie i panowie, chłopcy i dziewczęta, możecie mi wierzyć albo nie, ale nowożytna religia, jaką jest ufologia — sztuka interpretowania niezidentyfikowanych obiektów latających — wchodzi dziś w swój czterdziesty czwarty rok istnienia. Krótko mówiąc, mimo swych dziwacznych założeń, ufologia wciąż ma moc wzbudzania ciekawości ludzi, jak świat długi i szeroki.

Podobnie jak wiele innych poważnych religii, rozwija się szybko i z werwą, przystosowując się do wrogiego jej środowiska. Ma swoich kapłanów i misjonarzy, swoje cuda i swoje przesłania. Jest to religia epoki podróży kosmicznych, która przynosi nam w darze kosmiczno-nieblańską poświatę, obcych przybyszów niby-bogów i latającą zieloną galaretę — ale przede wszystkim zapewnia nas, że nie jesteśmy sami: że wszechświat pulsuje inteligencją. Co oczywiście mogłoby być prawdą.

Ostatnio jesteśmy świadkami prawdziwej epidemii doniesień o pojawieniu się UFO. Nie tylko w Wielkiej Brytanii, gdzie liczba opisanych w mass mediach przypadków (ponad 530) przekroczyła już liczbę wzmianek w którymkolwiek z ostatnich dziesięciu lat, lecz wszędzie: stąd aż po południowoaustralijski busz i z powrotem. Poza tym w USA panuje dziś wielka moda na historie o porwaniach dokonanych przez UFO.

Najgłośniejszy przypadek pojawienia się UFO nad Zjednoczonym Królestwem opisany został wielokrotnie: ośmiu policjantów z londyńskiej dzielnicy Kensington zaobserwowało szarozielony latający talerz przez teleskop należący do 16-letniej **Zeny Sfeir** — i natychmiast stali się oni gorącymi wyznawcami nowej wiary. Nieco później okazało się, że wszyscy patrzyli na Jowisza przez źle działający teleskop.

A amerykańska moda na porwania osiągnęła takie rozmiary, że porwani urządzają dziś swoje zjazdy, na których twierdzą, że szaroskórzy obcy przybysze regularnie przylatują na Ziemię, aby przeprowadzać na pokładach swoich statków kosmicznych badania medyczne ludzi. Uwielbiają, jak się okazuje, przeprowadzać przeszczepy i znakować ludzi jak wędrowne stada karibu...

Ta, będąca jeszcze w stanie embrionalnym, religia ma konkretną datę swojego początku; 24 czerwca 1947 r. pilot-biznesmen **Kenneth Arnold** doniósł, że spostrzegł dziewięć srebrzystych obiektów lecących z ogromną prędkością w okolicy Mount Rainier w stanie Waszyngton. Migocąc i wirując poruszały się one tak, jak poruszałby się spodek ciśnięty w wodę niby puszczona „kaczka".

A co myśleć o świetlnych strumieniach i latających maszynach z przeszłości? Albo o różnych biblijnych wzmiankach? Czy o cudach i relacjach ze Średniowiecza? Albo o kosmicznych zjawiskach notowanych w wieku XVI, XVII i XVIII? O powodach paniki — w początkach naszego wieku — wywołanej pojawieniem się znikających statków powietrznych, tzw. foofighters, albo tajemniczych rakiet?

Niezależnie od tego, jak byśmy tłumaczyli te zjawiska, wobec wrzawy, którą wywołało doniesienie Arnolda o latających talerzach, ich znaczenie staje się nieistotne. Nowa religia zaczęła się rozwijać dynamicznie i nawet jeśli Arnold uległ tylko jakiemuś mirażowi, to przecież jest to zupełnie nieistotne, jeśli jej wyznawcami są fanatycy.

Wytrawny ufolog **Hilary Evans** ma na to kilka gotowych wyjaśnień: **że niektórzy świadkowie pojawienia się UFO kłamią z całą świadomością, że niektórzy kłamią nieświadomie, jeszcze inni znajdują się pod wpływem kulturowych bądź psychologicznych uwarunkowań, które mogą mieć wpływ na tendencyjne postrzeganie bądź interpretowanie zaobserwowanych zjawisk.**

„Z jednej strony — mówi Evans — ***każde takie doniesienie jest relacją naocznego świadka nie popartą żadnym namacalnym dowodem. Kiedy jednak otrzymujemy jakiś materialny dowód, to jednak jest on mało przekonujący.***

Z drugiej strony już sama liczba zgłaszanych przypadków zaobserwowania UFO jest imponująca. Co roku odnotowuje się ich kilkaset tysięcy. Nawet jeśli tylko jeden na tysiąc zasługuje na poważne potraktowanie, to nadal będzie to wcale pokaźna liczba niezwykłych zjawisk zaobserwowanych przez ludzi, którym w innych okolicznościach nie mielibyśmy powodu nie wierzyć".

Zdaniem Evansa niezależnie od tego na jakiej płaszczyźnie rzeczywistości istnieje UFO, to z pewnością istnieje ono jako nowe i wyjątkowo złożone wyzwanie. Czyżby rzeczywiście? Nie robiąc z tego wielkiej sprawy spróbujmy zapuścić się w ten cudaczny świat ufologii. Jest to obszar o niezwykle słabej sile ciążenia, sprawdźmy więc dokładnie nasz kosmiczny skafander ochronny, abyśmy nie eksplodowali nagle, rozpadając się na miliardy zdziwionych tym cząsteczek.

Cd. w następnym TOMIKU

Najczęściej spotykanym obrazem UFO jest owalna, świecąca plama

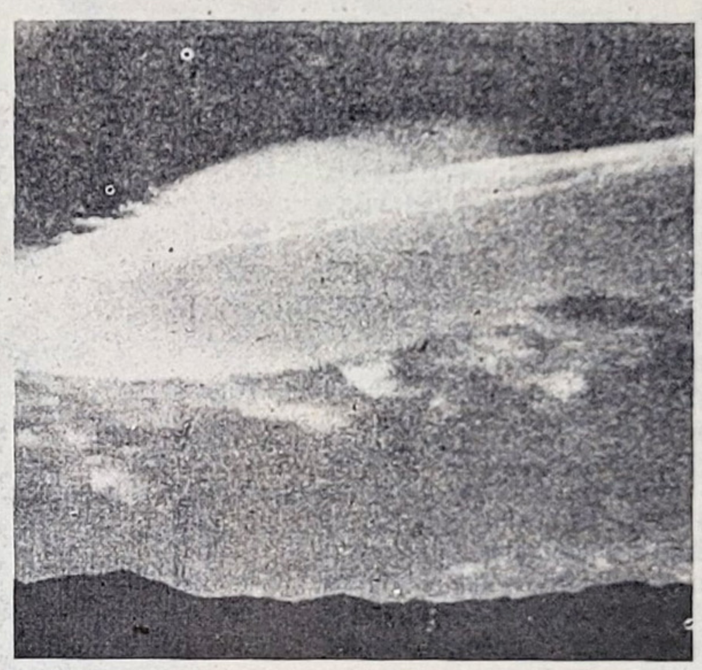

Bywa jednak, że obraz układa się w podłużne, świecące cygaro

KANCELARIA FIRMY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

— wszystkie w stylu wpisywanek do pamiętników, sentymentalne i banalnie rymowane. Ale dobrze świadczą o Twoim oczytaniu w literaturze romantycznej. Mam nadzieję, że moja ocena nie zmartwi Cię zbytnio. Tyle masz zainteresowań, że na pewno coś się z nich wykluje. Napisałaś mądrze: *„Moje szczęście polega na tym, że potrafię przelać na papier swe uczucia i mam własny świat... Nie boję się surowej krytyki, gdyż i tak dalej będę układać wiersze, tyle że dla siebie."* Cieszę się, że takie masz podejście do sprawy. Pozdrowienia.

● **Lena Bajtlik z Chorzeli.** Dla poety nie istnieją banalne tematy! Można je tylko banalnie ująć, co się właśnie Tobie przytrafiło. Oryginalne w Twoim wierszu jest stwierdzenie z pierwszej zwrotki — że domem skowronka jest niebo. Reszta to ciężko rymowany opis burzy, złożony z oczywistych zdań oznajmujących. *„Niebo się zachmurza, zaraz się rozpęta burza, wiatr kołysze małe drzewa, skowronek — już nie śpiewa".* Nie tędy droga do poezji. Ominęłaś ją w pierwszej zwrotce. Spróbuj do niej wrócić.

● **„Indajnen" z woj. poznańskiego.** Coś w tym jest. Ale Twoje utwory grzeszą rozwlekłością, niepotrzebnie się powtarzasz, jakbyś nie wierzyła, że każde słowo z n a c z y. O tym, że „nie widziałam cię już od miesiąca" — pisała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Zobacz, ile w swoim czterowierszu wyraziła, jaki ogrom uczuć. A u Ciebie rozmywa się wszystko w 16 linijkach monotonnego smucenia. Nie martw się zmianą szkoły. To trudna chwila, ale ciąg dalszy może okazać się całkiem fajny.

● **Iza N. z Gorzowa Wielkopolskiego.** Napisałaś wiersz, żeby sprawdzić swoje możliwości i proponujesz nam następne utwory. A my radzimy: na razie jeszcze więcej czytaj, niż pisz. Przyślij do nas dopiero wtedy, gdy powstanie to z silnej wewnętrznej potrzeby.

● **Karolina Lenczewska też z Gorzowa** — zdaje się, wie już, co to „natchnienie", ale musi jeszcze poczekać na poważniejszą ocenę. Karolinko, dziś mogę stwierdzić tylko, że z dwóch nadesłanych, dużo lepszy jest wiersz bez rymów, w którym pokazujesz piękno rzeczy zwykłych. I zachęcam do dalszych prób.

● **„Jaworzynka" z Gdańska.** Tak się zafascynowałaś górami, że zapomniałaś podać adres i nazwisko. A przecież proszę o to i przypominam systematycznie: anonimy źle świadczą o nadawcy. Co do wierszy, to niektóre zbyt patetyczne, a w innych dałaś się ponieść zabawie słowem, aż zapomniałaś o treści i... sensie. Ot, taki „Żarcik". Mógłby być zabawny, gdybyś go przemyślała. Gdybyś na przykład wszystkie porównania i metafory w opisie górskiego krajobrazu zaczerpnęła z dziedziny kuchenno-stołowej. A tu tymczasem została samotna „salaterka", która sprawia dziwaczne wrażenie, bo nie wiadomo czemu służy. Podoba mi się puenta (dwa ostatnie wersy). Dorób do niej resztę i przyślij.

— Szajba mu odbiła... Mówię ci, jak się zerwał!... Nigdy jeszcze nie widziałem takiego skoku! Skoczył od razu z półtora metra i to z pozycji leżącej! I wydał przeraźliwy głos, mówię ci okropny głos koguci...

— Koguci?

— Tak. I ku przerażeniu Beaty zaczął uciekać gdzie pieprz rośnie z podejrzaną jak na zgrzybiałego staruszka szybkością... A Beata tak osłupiała, że torba wypadła jej z ręki. Bałem się, że sama padnie z emocji.

— Bujasz?!

— Spytaj Czółki. To wszystko mamy sfilmowane, chociaż Miecio się wściekał. Bo jak tylko Beata oddaliła się, wrócił zawstydzony i zapytał Czółki, czy filmował tę sekwencję z Beatą. A Czółko powiedział, że tak. To Miecio się rozzłościł i kazał Czółce zniszczyć tę taśmę, żeby nikt nie oglądał. Ale Czółko nie chciał. Powiedział, że to są najlepsze sceny filmu i że będzie wyświetlał ten film na konkursie filmów amatorskich. I zaczęli się kłócić. I od tego się zaczęło. A potem to już nic nie szło dobrze. Zrobił się wieczór i nie mogli więcej kręcić... Czółko chciał iść do domu, ale Mietek się uparł, żeby zrobić jeszcze numer z walutą. Wiecie, na czym to polega. To stara zabawa wymyślona przez Czółkę. Rozrzuca się na ulicy sztuczne pieniądze, to znaczy takie papierki naśladujące banknoty, jakich używa się w teatrze, i z ukrycia śledzi się zachowanie przechodniów...

I oni właśnie w to się zabawili. Czółko miał przy sobie kilkanaście tych rekwizytów, same grube banknoty, w tym waluta obca. No i rozrzucili je na ulicy i patrzyli, co będzie. Ludzie zatrzymywali się zaskoczeni, prawie każdy podnosił z ziemi banknoty, niektórzy oglądali je z niedowierzaniem, inni nawet bez oglądania napychali sobie nimi chciwie kieszenie, patrząc tylko dookoła, czy ktoś nie widzi...

I wtedy Miecio stawał niespodziewanie nad takim kucającym facetem i kłuł go w plecy parasolem. A kiedy zaskoczony facet podnosił głowę, widział nad sobą straszną twarz wampira. I znów mało kto wytrzymywał. Ludzie drętwieli ze strachu, a potem uciekali na łeb, na szyję.

A jeden emeryt, pan Gędziola, co miał słabe serce, to zasłabł z wrażenia i musieli go sprzątnąć....

— Jak to sprzątnąć?!... — słuchałem osłupiały.

— No, żeby nie leżał na widoku — wyjaśnił Zapert. I zanieśli go do bramy...

— No i co?

— No i nic. Miecio powiedział, że może następnym razem będzie miał więcej szczęścia. I wrócili na ulicę. I Miecio dalej straszył.

— A ten człowiek? Co się stało z tym człowiekiem? — denerwowałem się.

— Z jakim człowiekiem?

— No, z tym, którego zanieśli do bramy.

— Z tym? No, nie wiem...

— Jak to?! Nie zainteresowało cię?

— No, chyba... chyba poszedł sobie.

— Jak to chyba?

— No, bo jak później zajrzeliśmy do bramy, to go już tam nie było... Bardzo dokładnie zbadaliśmy teren, ale znaleźliśmy tylko parę włosów z głowy... Więc chyba wstał, poczesał się i poszedł dalej. Ale dokładnie to nie wiem...

— Posłuchaj Zapert — zasapałem. — Czy ty tego nie rozumiesz, czy ty nie czujesz... Człowiek zemdlał, zostawiliście go w bramie...

— To nie ja, to oni...

— Nieważne kto, ale ty byłeś przy tym! Człowiek leży w bramie, a ty nawet nie próbowałeś mu pomóc?!

— O... owszem, chciałem — wyznał Zapert. — Ale akurat nadszedł pan Antoś Szymander z żoną, dozorca naszego bloku, więc byłem ciekawy, co będzie... Bo oni wracali z imienin, pan Antoś pod małym gazem. Na pewno by niczego nie dostrzegł, bo zajęty był astronomią i pokazywał żonie gwiazdy. Ale ona nie słuchała i patrzyła na ziemię, pod nogi, bo w chodniku były dziury... I stąd całe nieszczęście.

— Nie bardzo rozumiem.

— No bo jak ona patrzyła w ziemię, to zobaczyła banknot i mówi: „Antoś, patrz, tu leży dolar". On nie chciał wierzyć, więc ona mu wskazała końcem buta. To on się schylił, żeby podnieść, a ona w krzyk, bo właśnie zobaczyła Miecia. Pan Antoś zrywa się i widzi przed sobą wampira. No i wtedy stało się.

— Co się stało?

— No właśnie to nieszczęście. Bo wiesz, co pan Antoś zrobił, jak zobaczył wampira?

— Uciekł.

— Wcale nie! On się zupełnie nie przestraszył, tylko bęc Miecia w tę maskę! Tak z miejsca, bez namysłu! Maska pękła, zęby poleciały od razu...

— Zęby Miecia?

— Nie, na szczęście tylko zęby wampira. Miecio się nakrył nogami, pan Antoś popatrzył podejrzliwie na niego, wziął go za kołnierz i zaciągnął pod latarnię, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Miecio chciał się zmyć, ale ze strachu, jak powiadał, nogi wrosły mu w ziemię. A pan Antoś zaśmiał się złowrogo i rozebrał go...

— Jak to rozebrał?!

— No, ściągnął z niego ten kostium, zabrał mu wszystko, razem z parasolem, zostawił Miecia półnagiego i odszedł z żoną... Okrutny człowiek!

— No i co potem?

— Potem to już nie wiem, bo uciekłem — wyznał Zapert. — Tylko następnego dnia...

— Co następnego dnia?

— Poszedłem z Czółkiem do Mietka i słyszałem, jak się kłócili, kto ma płacić za kostium. Mietek powiedział do Czółki:

— Jeśli straciłem kostium, to przez ciebie, tchórzu!

— A Czółko powiedział, że Mietek ma przynieść do budy kostium albo cztery patyki. I że będzie na niego czekać z Arturem Tuburdą, znanym Mamelukiem przed szkołą. Resztę znacie.

— Sami widzicie! — zabrał głos podniecony Kiełbik. — Mietek tu nic nie winien. To był wypadek przy pracy.

Cdn.

HELLO!

Hej, hello, ahoj!

Nie znać języków obcych to wstyd. Nie znać angielskiego to błąd...a więc... a więc?!

Codziennie od poniedziałku do piątku, zawsze o 8.50, zawsze w IV programie Polskiego Radia (fale długie i średnie) pierwsze kroki angielskiego.

W każdym wtorkowym numerze „Świata Młodych" te radiowe pierwsze kroki utrwalone w druku.

Wytnij tekst, nagraj audycję — słuchaj, czytaj, śpiewaj, powtarzaj — wykorzystaj szansę. Ucz się angielskiego!!!

1. A Song: **HELLO! HOW DO YOU DO?**

1. Piosenka: **CZEŚĆ! JAK SIĘ MACIE?** (tekst i tłumaczenie patrz „Świat Młodych" nr 97 z dnia 4 września br.)

2. A Story: **BOBBY IN THE KITCHEN**

— We want some apples, Bobby.
— How many apples do you want, Mummy?
— Three, please.
— Here are your apples. They're in my lorry.
— Now, we want some oranges, Bobby.
— How many oranges do you want, Mummy?
— Two, please.
— Here are your oranges. They're in my boat.
— Now, we want some bananas, Bobby.
— How many bananas do you want, Mummy?
— Four, please.
— Here are your bananas. They're in my train.
— Now, we want some eggs, Bobby.
— How many eggs do you want, Mummy?
— Two, please...
— Here are your eggs. Weee, they're on my plane.
— No, they're not. They're on the floor.
— Oh!
— Oh! Bobby!

2. Opowiadanie: **BOBBY W KUCHNI**

— Potrzebujemy kilka jabłek, Bobby
— Ile jabłek potrzebujesz, mamusiu?
— Trzy poproszę.
— Masz jabłka. One są w mojej ciężarówce
— Teraz potrzebujemy kilka pomarańczy, Bobby.
— Ile pomarańczy potrzebujesz, mamusiu?
— Dwie poproszę.
— Masz pomarańcze. One są na moim statku.
— Teraz potrzebujemy kilka bananów, Bobby.
— Ile bananów potrzebujesz, mamusiu?
— Cztery poproszę.
— Masz banany. One są w moim pociągu.
— Teraz potrzebujemy kilka jajek, Bobby.
— Ile jajek potrzebujesz, mamusiu?
— Dwa poproszę.
— Masz jajka. Wii..., one są w moim samolocie.
— Nie, one nie są w samo locie. One są na podłodze.
— Och!
— Och! Bobby!

3. A Song: **IN MY LITTLE GARDEN**

In my little garden,
Now, promise you won't laugh,
I haven't any flowers
And I haven't any grass.
But now I'm going to dig and plant
And soon I have a show.
With a bit of sun
and a bit of rain
There'll be a lovely row of
One potato, two potato
Three potato, four
Five potato, six potato
Seven potato, more...

3. Piosenka: **W MOIM MAŁYM OGRÓDKU**

W moim małym ogródku,
Teraz obiecaj, że nie będziesz się śmiać,
Ja nie mam żadnych kwiatów
I nie mam żadnej trawy.
Ale teraz zamierzam kopać
i sadzić
I wkrótce pokażę.
Przy pomocy odrobiny słońca
i odrobiny deszczu
Będzie śliczny rząd
Jeden ziemniak, dwa –ziemniak
Trzy – ziemniak, cztery
Pięć – ziemniak, sześć – ziemniak
Siedem –ziemniak, więcej...

4. A Rhyme: **ONE, TWO, THREE, FOUR...**

One, two, three, four
Come in please and shut the door.
Five, six, seven, eight
It's time for school,
you're very late.
Nine — ten,
nine — ten
Don't be late for school again.

4. Wyliczanka: **JEDEN, DWA, TRZY, CZTERY...**

Jeden, dwa, trzy, cztery
Wejdź proszę i zamknij drzwi.
Pięć, sześć, siedem, osiem
Czas do szkoły,
jesteś bardzo spóźniony.
Dziewięć — dziesięć,
dziewięć — dziesięć
Nie spóźniaj się do szkoły znowu.

5. A Song: **ONE MAN WENT TO MOW**

One man went to mow, went to mow a meadow,
One man and his dog
Went to mow a meadow.
(And so on up to ten)

5. Piosenka: **JEDEN CHŁOP POSZEDŁ KOSIĆ**

Jeden chłop poszedł kosić,
poszedł kosić łąkę,
Jeden chłop i jego pies
Poszli kosić łąkę.
(I tak dalej aż do dziesięciu)

6. A Rhyme: **ONE, TWO...**

One, two — this is my shoe,
Three, four — that's the door,
Five, six — a bundle of sticks.
Seven, eight — a big white plate.
Nine, ten — say it again.

6. Wyliczanka: **JEDEN, DWA...**

Jeden, dwa — to jest mój but.
Trzy, cztery — to są drzwi.
Pięć, sześć — pęk patyków.
Siedem, osiem — duży, biały talerz
Dziewięć, dziesięć — powiedz to jeszcze raz.

7. A Song: **HELLO AND GOODBYE**

7. Piosenka: **DZIEŃ DOBRY I DO WIDZENIA**

(tekst i tłumaczenie patrz „Świat Młodych" nr 97 z dnia 4 września br.).

Z KOMPUTEREM PO „BISMARKA"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4-5

o długości 6500 m sieci oraz podwodne sanie „Argo" wyposażone w trzy ruchome, zdalnie sterowane kamery wideo i jedną kamerę umocowaną pod stałym kątem, a kierowaną zawsze w stronę dna. Na ekranach w centrum kontrolnym statku „Star Hercules" badacze mogli dokładnie obserwować najmniejszy nawet fragment oceanicznej głębi i śledzić stale zmieniające się obrazy.

But ważny jak działo

Z każdego tonącego statku, zanim jeszcze opadnie on na dno, odrywają się tysiące fragmentów — części pokładowych zabudowań, maszyn, urządzeń i mnóstwo innych rzeczy, nie wyłączając osobistego wyposażenia załogi. Te wszystkie przedmioty leżą później na dnie wokół wraku, rozsiane na znacznej przestrzeni. Właśnie to ich przede wszystkim szukały kamery. Każdy, choćby najdrobniejszy detal wyglądający na wykonany ludzką ręką, jaki tylko ukazał się na monitorach, dosłownie elektryzował załogę. „Ciepło, ciepło!" — mogli powiedzieć sobie, jej członkowie, choć sporo wody musiało upłynąć pod statkiem, zanim mogli zakrzyknąć „gorąco". Niemniej to wpatrywanie się w każdy podwodny rupieć miało okazać się owocne... Bodaj największe zwątpienie ogarnęło członków ekspedycji, gdy zaczęli przeszukiwać Porcupine Abyssal — podwodną równinę, przeciętą kilkusetmetrowymi, wulkanicznymi wzgórzami.Obawiali się, że wrak mógł utknąć gdzieś w zagłębieniu tych wzgórz. A może został wręcz przywalony podmorską lawiną i dokumentnie zasypany materiałem skalnym? Wówczas byłby praktycznie nie do odnalezienia.

Dziesięć dni uparcie badano podwodną równinę. Bez rezultatu. Aż wreszcie... Walający się po dnie złom odwrócił koleje wyprawy.

Oto rankiem 6 czerwca ujrzano pierwsze, nikłe szczątki urządzeń, które mogły pochodzić z pokładu pancernika. Z czasem trafiono nawet na... buty członków załogi. Idąc — dosłownie i w przenośni! — ich śladami trafiono na coś, co już ewidentnie dowodziło, że cel jest tuż tuż: na jedną z czterech największych wież działowych (kaliber 380 mm), jakie miał na pokładzie „Bismarck". Wieża ta — jak i pozostałe — oddzieliła się od kadłuba, kiedy tonący pancernik obrócił się do góry stępką. Opadły na dno oddzielnie. Potem okręt obrócił się jeszcze raz i już bez czterech głównych wież osiadł na dnie do góry pokładem. Takim ujrzały go kamery „Star Herculesa", gdy wreszcie 8 czerwca 1989 r. zlokalizowały wrak pancernika.

Kiedy statek znalazł się pod nim, zaczęły się dopiero właściwe prace badawcze. Uruchomiony został komputer koordynujący działania statku, kabla, sań „Argo" i wszystkich kamer. Dzięki temu systemowi przez dwa dni filmowano i fotografowano bezcenne znalezisko. Nakręcono tysiące metrów taśmy wideo i wykonano ponad tysiąc zdjęć. W świat poszedł obraz tego, co pięćdziesiąt lat temu stanowiło osiągnięcie techniki wojennej. Obraz, który nie mógłby jednak powstać bez sięgnięcia po jeszcze nowocześniejszą technikę.

Na podstawie *„National Geographic"* oprac.

(gb-tó)

„KLEJĘ KOLEJ"

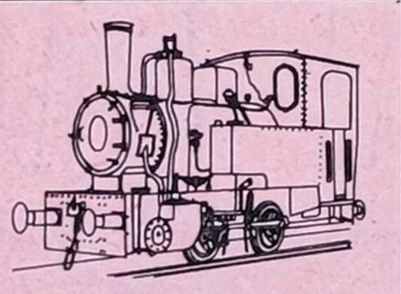

To seria modeli kartonowych HO. Parowozy, wagony, dworce, parowozownie, mosty, nastawnie, wieże ciśnień itp. Seria „Kleję kolej" do nabycia w sklepach modelarskich i papierniczych.

SM-2

Rewelacyjne materiały do nauki gry na gitarze „GITARA"; 07-200 Wyszków, skrytka poczt. 3.

MYŚLI NA GWOŹDZIU

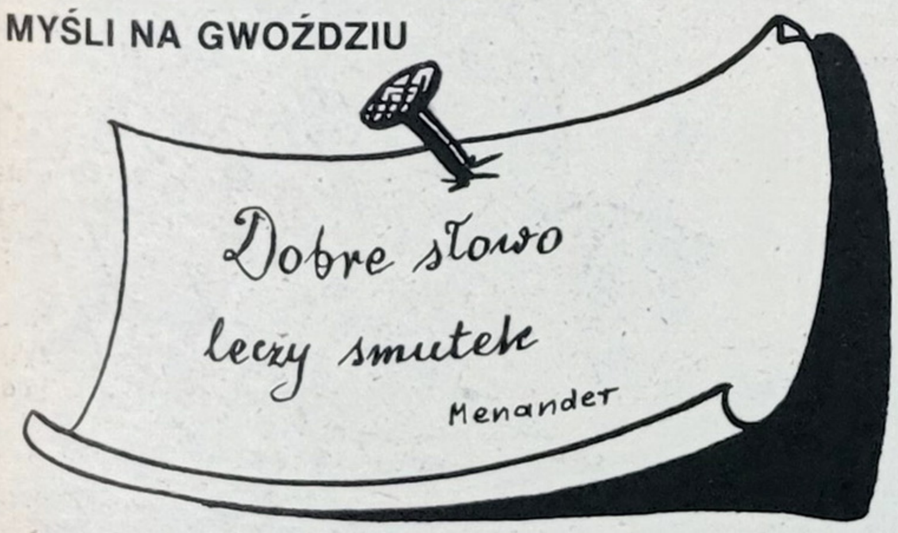

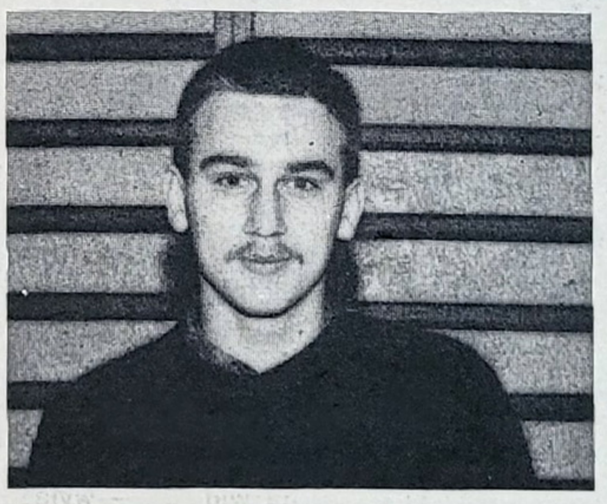

Liderzy Szkolnego Boiska

WSZECHSTRONNY ŚREDNIODYSTANSOWIEC

Piętnastoletni **Marcin Tański** (na zdjęciu) był do czerwca uczniem ósmej klasy Szkoły Podstawowej nr 2 w Ciechanowie. Od kilku lat z przyjemnością uprawia sport, między innymi lekką atletykę, piłkę nożną i koszykówkę. Bardzo lubi biegi przełajowe i średniodystansowe. Jest aktualnym wicemistrzem województwa ciechanowskiego w przełajowym biegu na dystansie 2500 metrów.

Także na futbolowym boisku odnosił już sukcesy, np. zdobył z drużyną I miejsce w halowym turnieju w Ciechanowie. Jest bardzo sprawny, gibki; legitymuje się dobrymi wynikami w skoku dosiężnym.

W szkole nie ma problemów z nauką, ale chciałby mieć jeszcze lepsze oceny. Kolekcjonuje stare monety, którymi chętnie wymienia się z kolegami. W tym roku skończył „podstawówkę" i kontynuować będzie edukację w liceum, a w przyszłości chce studiować na Akademii Wychowania Fizycznego i zostać trenerem.

(ab)

Fot. **TOMASZ ZAWADZKI**

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Redaguje kolegium: **Ewa Drobnik** (z-ca red.nacz), **Tomasz Kłosowski, Ewa Kosińska, Jan Orgelbrand** (red.nacz.), **Zdzisław Przybyłowski, Małgorzata Szczepańska** (sekr.red.), **Grażyna Szroeder-Bukowska.** Adres redakcji: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telefon: 21-15-61, telex: 813658. Telefony: redaktor naczelny: 21-15-61, z-cy red.nacz. — 29-21-42; sekretarz redakcji — 28-25-48, dział łączności z czytelnikami — 21-81-13, dział zainteresowań — 21-98-28; dział społeczno-wychowawczy — 21-47-06; dział kultury — 28-77-21; dział sportowy — 21-98-28, fotoreporterzy — 21-98-28. Oddział redakcji: ul. 3 Maja 7, 40-003 Katowice, telefon 59-91-10, telex 315327.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: S.P. „Świat Młodych", Warszawa, ul. Mokotowska 24. Numer konta bankowego: PBK III O/W-wa 370015-973913

Ogłoszenia przyjmuje redakcja. (tel. 28-77-21)

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: własny

ŁAMANIE: Supergraf- Sp. z o.o., Warszawa ul. Rakowiecka 32, tlx 814886, Tel. 49-09-38, 49-32-31 w. 297

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne w Łodzi.

Ukazuje się od 1949 r.
Nr 99 (4805)
Wychodzi: wtorki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

PLANETA ŚMIERCI

Na podstawie opowiadania R. Shelkleya
rysował MAREK GROSZKOWSKI
z Choszczna

4

Autorką mego portretu jest **Joanna Niedzielak**, którą zapisuję do Rzepklubu.

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żarty rysunkowe nadesłali mi **Anka i Wójtek Kaczorowscy** — członkowie klubu.

— Tatusiu, ciekawym, czy on to znajdzie?

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektowała **Anka Mąka**, którą zapisuję do Rzepklubu.

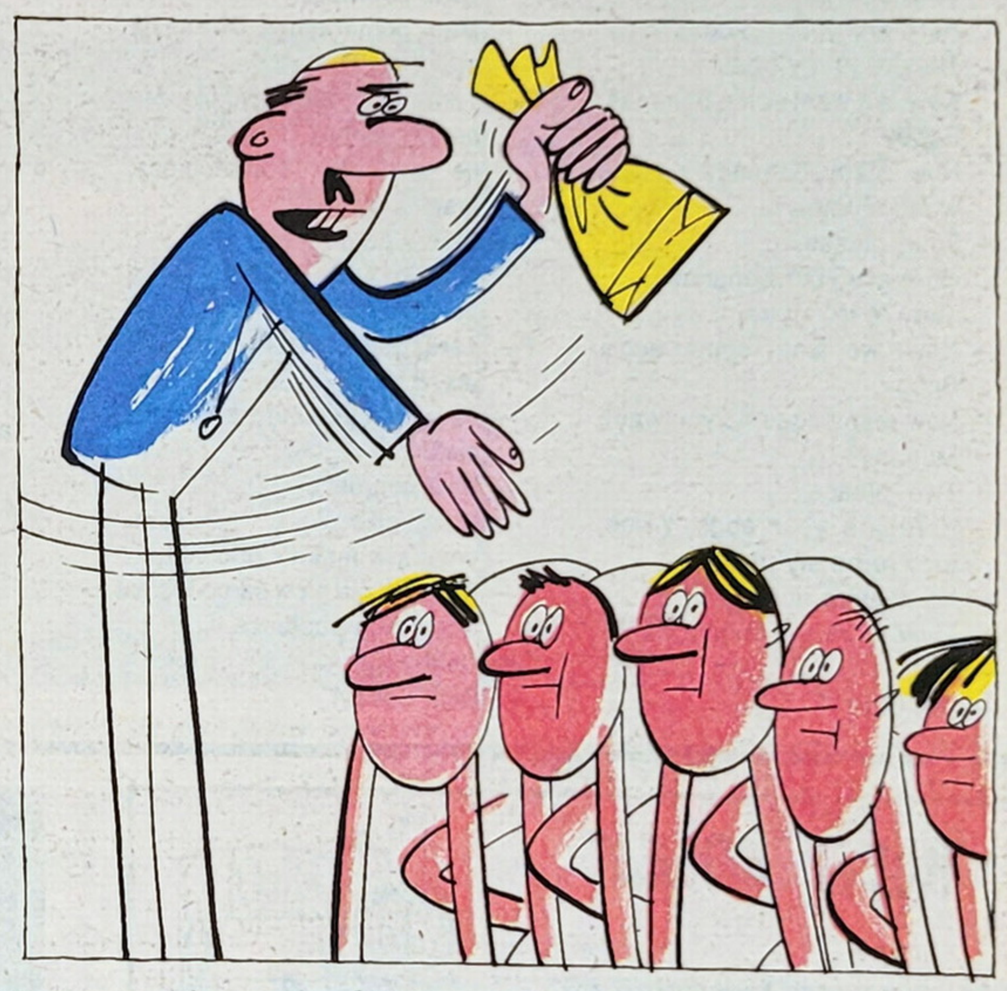

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Otrzymałem sporo kartek z wakacji. Dziękuję! Oto krótki „wyciąg" z tych, które zawierały coś więcej niż pozdrowienia:

WAKACYJNE MIGAWKI

● *Na działce (300 metrów kwadratowych) byłoby fajnie, gdyby nie grządki i rabatki. Kulfon przesiedział na smyczy cały tydzień. Ochrypł, ujadając bez przerwy na boksera sąsiadów, którego nienawidzi. My też nie kochamy sąsiadów... Anka.*

● *Nuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuda! Genowefa.*

● *Obóz — kolonia za (?) 00 000 zł. Kąpiel zabroniona przez Sanepid. Na horyzoncie pali się wysypisko gminne. Jak nie wieje z zachodu — jest tu wspaniałe powietrze. Dotychczas wieje z zachodu... Wit.*

● *Lody — salmonella — szpital... Twój Kazik.*

● *Czekałam z rodzicami trzy doby na przejściu granicznym. Pogoda „wymarzona"! W naszym maluchu można było piec kurczaki. Za granicą jest taki sam bazar jak u nas... Aśka.*

● *Tata wczoraj zarzucił wędkę i czeka na branie. Przychodzi tylko na jedzenie. Ośrodek, jak ośrodek. Nudno, więc zbieramy butelki... Adam.*

● *Zwiedzaliśmy... zwiedzaliśmy... zwiedzaliśmy... mam odciski... E.P.*

● *Dyskoteka w domu kultury. Nawet fajna. Nie podobaliśmy się tubylcom. Nasze straty: jeden ząb, sześć sińców, jedna koszula (ząb mój)... „Papa Smerf".*

● *Czytam książkę w wannie z chłodną wodą. Cisza i spokój. Żyć, nie umierać! Nigdzie nie wyjeżdżam... Agata.*

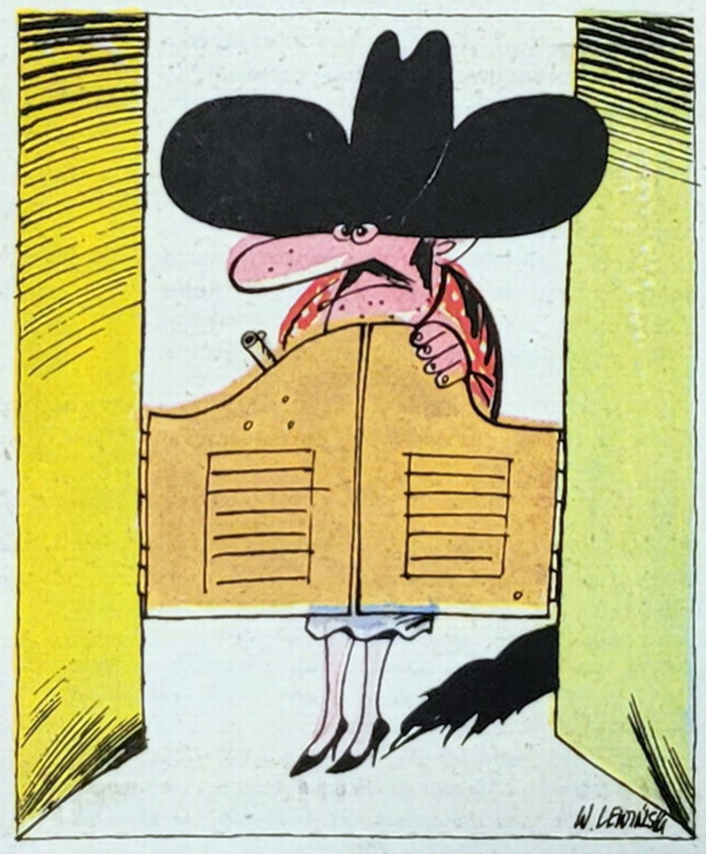

— Jak chceta, chłopaki, znaleźć w lesie furę śmiecia, to trzymajta się mnie...